

Ruda — krew wielkich pieców

(Korespondencja własna „Głosu”)

Podróżując poprzecz tereny wokół Częstochowy i dalej w stronę Śląska, jeszcze dziś można zobaczyć stare, zarosłe zieliskiem krater. To dawne bieda-szyby rudy, z jakich chłop wydobywał rudę. Jeśli miał ją na swojej działce rolnej, to kopał sam, sam bił szyb, po drabinie schodził w głąb ziemi i stamtąd wiadrami wyciągał minerał. A potem z takim wysiłkiem wydobyty owoc swej pracy sprzedawał hucie „Bankowa” czy „Handtkę” po „ba-jońskiej” sumie — 2 złote za tonę! I to jeszcze z dostawą do wagonu.

Ile czasu trzeba było na wydobyć tony rudy? To zależało od terenu. Mniej więcej w ciągu 12 godzin można było ręcznie dostać około 2 ton. Ale często, bardzo często, spracowane ciało górnika zostawało pod ziemią. Prymitywny bieda-szybik zasypywał górnika, skała łamała kości lub zabijała.

To nie z troski...

Może więc ktoś zapytać, dlaczego nie zabraniano w takim razie kopać prywatnie na bieda-szybach? Przecież na Śląsku bieda-szyby węglo we były likwidowane przez władze sanacyjne, był zakaz kopania w nich. Tak, ale to był węgiel! I bynajmniej nie z troski o życie człowieka zakazywano kopania w bieda-szybach. Zabrania- no z troski o to, aby węgiel u- rabiany przez biedotę nie robił konkurencji kopalniom kapita- listów. A ruda? Cóż za konku- rencję mogła robić ruda wy- dobywana przez biedotę górni- cza. Przecież nikt jej prywat- nie na rynku nie sprzedal. Szła do huty po niskiej cenie, do huty, której przy tym systemie eksploatacji odpadł kłopot or-

tu w Nowej Wsi, inżynier ob- jął kierownictwo techniczne z ramienia inwestora.

W towarzystwie sztygara Henryka Czecha idziemy na kopalnię. Duża przestrzeń wokół szybów wypełnia dudniący wrzawa i turkot maszyn. Co chwilę na nadszybie wyskaku- ją małe wagoniki z rudą i ska- łą — wyciągane windą szyb. Rozbudowa nowoczesnej kopal- ni musi iść w wielu kierunkach.



Ta hałda to nie ruda — to skała płonna, jaką trzeba oddzie- lić od rudy.

A taką jest kopalnia „Nowa Wieś”.

Walka o szyb „Nowej Wsi”

Otwarta klatka windy sunie cicho wśród wilgotnego i ciem- nego kwadratu szyb. Tylko migotliwe i ostre światło kar- bidówki rozświetla tę prze- strzeń. W świetle tym widać jak strużkami ścieka woda po drzewie cembrowin. Szyb jest solidny, mocny i daje poczucie pewności. Lecz jeszcze kilka miesięcy temu, tu, kilka me-

waniem całej dotychczas wy- konanej pracy.

Pięciu ludzi stojąc na drabi- nach w ciemnym tunelu szyb, przez kilka godzin czyniło roz- paczliwe wysiłki nad opanowa- niem żywiołu. W zimnie i wil- goci, na wyginające się i pę- kające okładziny ściany nakła- dano nową obudowę. Lada se- kunda masa ziemi mogła ścis-nąć szyb i zasypać pracujących w nim ludzi. Brygada awaryj-

— Idziemy na spotkanie — powiedział oficer łącznikowy — generał czeka...

Wymknęliśmy się z bambu- sowego szalasu, jak gniazdo jaskółcze, przylepionego do ściany wąwozu.

Dziennie myśliwce skoń- czyli służbę — pokazywał na wygasające niebo — nocne jeszcze nie nadleciały; powin- niśmy mieć spokój.

Telefoniści ciągnęli kable do sztabu ukrytego gdzieś w jaskini. Przebiegali, szeleści- ły gałęzie zatknięte na plecach.

Daleko basowym głosem stękała artyleria.

Generał Vo Nguyen Giap wydał mi się młodym chłop- cem. Drobnym, szczupłym, o wra- żliwej nerwowej twarzy i lek- kich ruchach. Zbiegł ze sto- ku.

— Niech żyje pokój — po- wiedział ściskając mi rękę. Musiałem się mimo woli u- śmiechnąć.

Pierwszy raz chyba w hi- storii, głównodowodzący w przeddzień bitwy tak pozdra- wia korespondentów na fron- cie...

— Nie jestem zawodowym wojskowym — powiedział pro- sto — mam inne ambicje, będę szczęśliwy kiedy karabi- ny odstawimy w ką... Cóż z tego, że zwyciężamy, ale woj- na się wlecz, tym wszystkim ludziom — powiedział wzrokiem po oficerach — lata ucieka- ją, mogliby kończyć studia, odbudowywać miasta, prowa- dzić fabryki, uczyć...

Zasiedliśmy do kolacji, pro- stej, żołnierskiej. Podawano ryż i kawałki kury w ostrym sosie. Jedliśmy z emaliowa- nych czarek, jak wszyscy, pa- tyczkami.

Szybko sprzątnięto ze sto- łu, przyniesiono kilka malut- kich lampek, przycięto rogi rozpostartej mapy.

— Prosiłbym o krótkie o- mówienie obecnej sytuacji na froncie...

— Jak mogliście się przeko- nać, front jest wszędzie. Pod tym względem zgadzamy się z Francuzami. Oni mówią, że obwarowany fortami rejon Delt jest ich bazą. My mó- wimy to samo. I to jest praw- da. Tylko oni mają na myśli dzień, a my noc. Wtedy oni zamykają się w fortach i ha- lasują z armat, a my minu- jemy drogi, niszczymy mo- sty, likwidujemy posterunki. W dzień armia rozpięta się po wioskach, pracuje na po- łu wśród chłopów, czeka w schronach na rozkaz nowej operacji.

Oni mówią, że w każdym miejscu mogą się werznąć w głąb wyzwolonego terenu... To prawda, ale my też mamy dosyć sił, by im odwrót za- mienić w ucieczkę, zatrzymać działania. Do akcji wchodzi najpierw partyzanci, potem

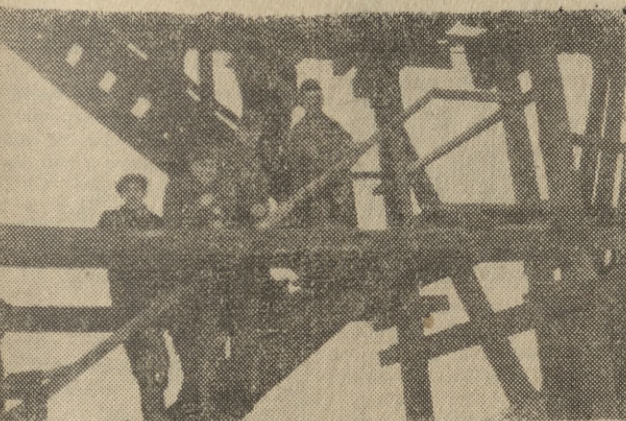
— Obowiązek. Kopalnia, hu- ty czekają na rudę. To prze- cież nasza normalna praca — mówi Lompa. — Dla siebie ro- binii, a nie dla jakichś kapita- listów ze „Wspólnoty Inter- sów”.

W chodnikach słychać szum pomp. Woda wali w skały i po- mosty, na wąskich szynach pod skakują wagoniki ciągnięte przez elektromobile. Tu, w głównych chodnikach przyświe- ca jeszcze światło elektryczne, lecz dalej w filarach już tylko migot karbidówek wskazuje drogę. Kroki uderzają echem o strop i ściany, z boku dobiega ras głuchy łoskot wystrzału.

To górnicy ładunkami wybu- chowymi „pędzą” nowe chod- niki. Rozbudowa kopalni pod ziemią idzie dalej.

„Nowa Wieś” nowa i jedna z największych kopalń rudy rozpoczęła pierwszy rok swego planu wydobycia.

LEON JANKOWSKI



Idą na drugą szychę. Za chwilę winda zwiezie ich z pod- szybia pod ziemię.

garnizonowania kopalni, placenia podatku, przewozu.

Spotkanie z inż. Marcem

Spojrzałem na jego twarz. Nie była bynajmniej już młoda. Lekko siwe włosy, twarz poważna i przeorana zmarszcz- kami mówiła o trudnej młodo- ści. Wcześniej, bardzo wcześniej zaczął pracę, pracować przy rudzie. Po skończonej szkole górniczej, poszedł do kopalni „Handtkę” pracować przy „smyczku”.

Smyczek to żerdź drewniana, zastępująca wówczas w kopal- ni dzisiejszy transporter me- chaniczny, po której górniki po- suwali wówczas wiadro z wy- dobytą rudą.

Za groze, w potwornych wa- runkach bezpieczeństwa, nie- pewny tego, czy jutro będzie miał pracę, tyrał po 12 godzin na dobie. Uprawienia inżynie- ra otrzymał po wojnie. Ile lat na to czekał — chyba z dwa- dzieścia. I gdyby nie władza ludowa, czekałby na nie do końca życia.

Gdy w roku 1951 przystąpio- no do budowy nowej kopalni,

trów pod ziemią, rozgrywała się walka ludzi z żywiołem. Gór- nicy budujący szyb, musieli się przebić przez kurawkę, roz- miękłą warstwę ziemi. Nacisk kuzawki na pierwszą obudowę szyb był tak wielki, że groziło „skręceniem” szyb, czyli za-

Na łamach amery- kańskiego dzien- nika „New York Post” ukazała się niedawno notatka, zatytułowana „Nikt nie kupuje ksią- żek”. W notatce tej do- noszono o zamknięciu znanej księgarni Weis- bera w Baltimore. „Ludzie nie interesują się ani książkami, ani ideami, ani kulturą. In- teresują się jedynie do- larami” — oświadczył Weisberger, mówiąc o przyczynach, które zmusiły go do zamknię- cia księgarni istnieją- ciej od 1925 roku. Pod- kreślił on, że jedną z przyczyn braku za- interesowania literaturą są stosowane w USA me- tody wychowania. I do- dał, że „młodzi pisa- rze, którzy powinni pisać poematy i powie-

„Nikt nie kupuje książek”

ści opracowują teksty dla audycji telewizyj- nych, reklamujące pa- pierosy, obuwie, ma- szyny itp.”.

Dla olbrzymiej wię- kszosci Amerykanów sprawy literatury i sztuki są rzeczą abso- lutnie obcą. Nie- właściwie wychowanie młodzieży, stała pogo- ną wydawców za zyskiem prowadzi do wypacze- nia gustów pewnej czę- ści ludności. Rzecz charakterystyczna, że księgarnie, sprzedające poważne książki — z dziedziny literatury pięknej i literatury na- ukowej — świecą na ogół pustkami, nato- miast w sklepikach

specjalizujących się w sprzedaży wydawnictw pornograficznych i „co- miesów” jest zawsze ogromny ruch.

Amerykański Insty- tut Opinii Społecznej ogłosił niedawno spra- wozdanie, w którym podkreślił, że w Sta- nach Zjednoczonych jest zaledwie 1.450 księ- garń, podczas gdy w Danii, „gdzie ogólna liczba ludności stano- wi zaledwie połowę liczby mieszkańców No- wegii, jest 650 księgarń”.

Instytut podał rów- nież, że w Stanach Zjednoczonych jest 7.500 bibliotek, a w

Szwecji — 3.500. Aby w Stanach Zjednoczo- nych istniała taka sa- ma proporcja między ilością bibliotek a liczbą ludności, powinno



tam być około 77 tys. bibliotek.

Przeprowadzona przez instytut ankietą wykazała, że zaledwie 17 proc. dorosłej ludno- ści USA jest stałymi czytelnikami książek.

Kto przedstawia chorągiewki w sztabie gen. Navarre?

Rozmowa z głównodowodzącym Wietnamskiej Armii Ludowej

Pisarz Wojciech Zukrowski spędził szereg miesięcy w walczącym demokratycznym Wietnamie. Poniżej zamieszczamy fragmenty jego rozmowy z głównodow- dzącym Wietnamskiej Armii Ludowej, gen. Giapem. Spotkanie odbyło się w pobliżu oblężonego jeszcze wówczas fortu francuskiego Dien Bien-fu, który 7 maja zdobyty został przez wojska ludowe.

wojska miejscowe, wreszcie regularna armia, oczywiście jeśli zachodzi jeszcze taka po- rzeba. Jedno pewne, z tych co weszli za głęboko, żaden nie wraca.

Gen. Navarre słucha porad ców amerykańskich, oni mu zalecili koncentrowanie sił, niezbędnych do wielkiej ope- racji taktycznych. Koncen- tracja w jego warunkach nie jest sprawą prostą. Dysponu- je ograniczoną ilością batalio- nów. Żeby zebrać siłę, musi osłabić załogi fortów, musi wyciągnąć garnizony z Del- ty. A to znów ułatwia nam atak, wytwarza stan zagroże- nia wokół stolicy, strzały sły- chać w Hanoi.

Dotąd siły ruchome korpu- su ekspedycyjnego nie prze- kraczały 45 batalionów, to była stała obsada manewro- wa. Teraz, gdy tu, pod Dien Bien-fu ugrzęzło czternaście batalionów, gdy na środko- wym ironie toczą się walki, siły w Delcie spadły do osiem- nastu batalionów, to wystar- cza zaledwie do utrzymania jakiejś takiej kontroli nad za- swo okupowanym obszarem. Nie ma więc mowy o jakimś zagrożeniu terenów wyzwolo- nych. Robiono raidy amfibii- mi, wypadły z kanonierką, że- by nas zaniepokoić, ale te u- derzenia wypały się w cią- gu paru dni, wroga spędzano siłami miejscowymi.

Od dwóch lat inicjatywa jest w naszych rękach i to my przedstawiamy chorągiew- ki na mapie sztabowej w kwa- terze gen. Navarre.

Taktyka nasza jest prosta, nie dopuścić do koncentracji wojsk nieprzyjacielskich, tam gdzie oni chcą. I to nam się w pełni udaje.

— Nasza walka jest spra- wiedliwa. Narody nasze mają prawo do wolności, a lud



Hartując się w walkach, żoł- nierze Wietnamskiej Armii Ludowej zdobywają na prze- ciwniku broń i amunicję. — Na zdjęciu: wysunięte stano- wisko karabinu maszynowego.

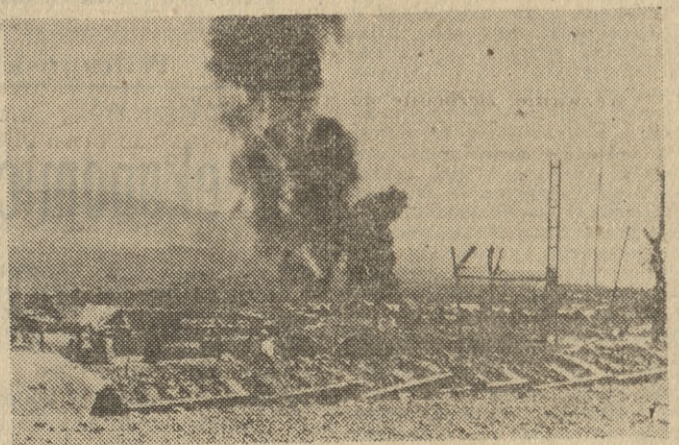
skie maszyny. Wiecie, że prze- rwano komunikację pasażer- ską z Południem, żeby wzmo- cnić zaopatrzenie, most po- wietrzny.

Zdobycie Dien Bien-fu to załamanie planów amerykań- skich. Oni próbowali wytwor-zyć stan zagrożenia na na- szę zachodnią granicę, a za- razem położyć barierę mię- dzy wyzwolenym ruchem Patet Lao a Wolnym Viet- namem. Myśleli, że nie ośmie- limy się ich zaatakować.

Echo wystrzałów spod Dien Bien-fu budzi nadzieję w lu- dach dotąd uciskanych, wzmo- że akcje partyzanckie na ca- łym Półwyspie Indochińskim.

Tracąc Dien Bien-fu nie- przyjaciel traci ostatnią ba- zę wypadową w północnym Wietnamie. Może jeszcze bro- nić stolicy Patet Lao, ale du- ży obszar wymyka się spod kontroli, a wszystkim postę- runkom grozi likwidacja...

Widziałem roześmiane twa- rze oficerów. Bez mundurów w zielonkawych koszulach z rozpiętymi kołnierzami, w podkaszanych spodniach, w sandałach wciągniętych na bosą nogę, wyglądali jak stu- denci na wczasach, biali od nich radosna młodość.



Ludowe wojska wietnamskie zacieśliły pierścien wokół ob- lężonej twierdzy Dien Bien-fu. W ostatczym szturmie 7 maja twierdza padła.

musi być syty, widzieć przed sobą jasne cele. Walczymy z kolonialnym wyzyskiem oku- pantów, walczymy z feudaliz- mem. Uciskani biedacy, zagło- dzeni chłopcy zmagają się z na- jeżdżcą, którego obficie zaop- atruje w nowoczesny sprzęt Ameryka. Oto wyjaśnienie, dlaczego u nas nie ma stałe- go frontu. Dotąd nie mamy ani jednego samolotu.

Nasza armia wyrosła w o- gniu walki. Małe oddziały partyzantów pomnożyły się w bitnie, wypróbowane dywizje. Zaczynamy wojnę bez bro- ni, bo nawet myśliwskie strzelby odebrał chłopom oku- pant... Szliśmy z nożami do- ciecia dzungli, z bambusami i kuszą przeciw czołgom i ciężkiej artylerii. Dziś mamy dosyć broni. Nieprzebrany źródłem naszego zaopatrze- nia jest sam nieprzyjaciel. Tak jak Czang Kai-szek po- każdej klęsce dobrał Mao Tse-tunga, tak i naszym do- stawcą są Amerykanie.

Dlatego interesujemy się każdym nowym transportem przybijającym do Haifongu, gdyż ta broń prędzej, czy później znajdzie się w na- szych rękach...

— Jakie znaczenie ma zdo- bycie twierdzy Dien Bien-fu?

— Pułkownik de Castries sześć miesięcy fortyfikował dolinę. Wycięto dzunglę, a pnie omotano tysiącami kilo- metrów drutu kolczastego. Zryto niekiedy między wzgó- rzami, zbudowano bunkry i schrony. Przed nami jest po- tężnie umocniona twierdza. W niej zamknęto się czterna- ście batalionów, a więc siła większa od dywizji. Mają- wiele dział i czołgów, wspie- ra ich lotnictwo, amerykań-

— Czy Francuzi nie przewi- dywali takiego obrotu spra- wy? Pierwszy raz słyszę o przygotowywaniu obrony na równinie, gdy wzgórza już są w ręku przeciwnika.

— Oni liczą, że bez ciężkie- go sprzętu nie ugryziemy umocnień. Że mamy za daleko do baz, nie nadążymy z za- opatrzeniem... Myślą, że nas wykrywają na równinie, że nigdy nie dojdzie do bezpo- średniego szturm na umoc- nienia.

Te rachuby zawiodły. Gór- skie ścieżki dzięki niezwyklej ofiarności mieszkańców wio- sek w ciągu trzech miesięcy poszerzono, zamieniono na szosę o twardej nawierzchni. Wykonano z pasją gigantycz- na pracę najprimitywniejszy- mi narzędziami, przetrwały ś- cuchy górskie. Przyciągnęli- my nasze działa, one uturują nam drogę. Lud tnąc prze- ście, otworzył nam bramy zwycięstwa. Lud nam ze wszy- stkich sił pomaga. Dlatego nasza sprawa jest wygrana.

Podniósł się, uścisnął nas i wymienił braterski poca- łunek.

Nagle usłyszałem tepe ude- rzenie w bambusową kołatkę. Zdmuchnięto światła. Nad- słuchiwalismy. Wazutki księ- życ marszczył się na nurcie rzeki, głośno rechotały żaby.

W całej dolinie bito w bam- busy na alarm.

Wyszliśmy spod jedwabne- go dachu. Zbliżało się mru- czenie. Skrzydłami gasł gwia- zdy. Jeden, drugi, trzeci. Nad- ciągały nocne myśliwce.

Zasłonięte grzbietem skal- nym postękiwały armaty osa- czonego Dien Bien-fu.

„TRIBUNA LUDU”

Wiosenna wystawa

W Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Poznańskiego powoli ostatnio ożywy prąd. Wzmogła się artystyczna i organizacyjna działalność artystów. Ujawnia się ona w zorganizowaniu kilku zbiorowych i indywidualnych wystaw prac artystów miejscowych oraz nawiązaniu bliższych kontaktów z innymi środowiskami. Żywa i twórcza była dyskusja artystów nad problemem rozwiązania zewnętrznej szaty Ratusza poznańskiego i Starego Miasta.

Nie jest również tajemnicą, że w Związku toczyły się gorące dysputy na temat zadań stojących obecnie przed artystami oraz nad najważniejszymi kierunkami rozwoju współczesnej sztuki polskiej. Na gruncie ideologicznego dokształcania się i większego zainteresowania społeczno-politycznymi problemami naszego narodu dokonali się u wielu artystów niewątpliwy przełom, ujawniający się w śmiałości niż dotychczas podejmowaniu trudnej tematyki problemowej, w bardziej swobodnym rozwiązywaniu koncepcji artystycznych przy równoczesnym przestrzeganiu dbałości o warsztat malarski i troskę o wysoki poziom twórczych dzieł.

Już IV Wystawa Prac Plastycznych wykazała, że środowisko poznańskie stało na pracy ciekawej i dobrej, a urządzona ostatnio

Gromadzińskiego. Wspaniałe są również „Kwiaty” pędzla Eustachego Wasilkowskiego.

Bardzo wysoki poziom wykazują prace grafików. Doskonałe są zwłaszcza: monotypia Zbigniewa Kaji — „Kompozycja”, kredka Jana Kabacińskiego — „Nowa zmiana wchodzi do szub” oraz drzeworyty Franciszka Burkiewicza, Eugeniusza Rosika, akwaforty Jana Grzegorzewskiego i Andrzeja Kandyory. Podkreślić tu trzeba fakt wiązania się grafików z życiem rodzinnym terenu, podejmowania coraz trudniejszych tematów i ukazania aktualnych problemów i wydarzeń. Całkiem zadowalające są ponadto osiągnięcia techniczne i artystyczne poznańskich grafików.

W przeciwstawieniu do dawniejszych wystaw, na których oglądaliśmy sporo dobrych rzeźb, na obecnym pokazie prace tej gałęzi sztuki nie ma wiele. Kazimierza Bieńkowskiego „Dyskobol” oraz Karola Mondrala — „Portret p. M.” przypominają do złudzenia rzeźby klasyczne. Projekty rzeźb do PDT — Józefa Gosławskiego stanowią dopiero zapowiedź poważniejszych dzieł. Wykonanej przez Józefa Kaliszana „Głowie Juliana Tuwima” brak jest charakterystycznie ostrych rysów poety.

Mimo wszystkich tych braków Wystawa Wiosenna jest ciekawą



HUMANISTA SREBRNEGO EKRANU CHARLIE CHAPLIN 4 KONCZYŁ 65-LAT

Dopiero w wieku lat 13 uśmiechnęło się Charlie szczęście, kiedy w przednim teatrze zadebiutował w epizodycznej roli. Nieprzeciętnym znawcą ludzi musiał być głośny wówczas w Londynie dyrektor teatru Fr. Karno, który później w 17-letnim, wynędznia-

Pierwszym filmem, w którym humor podany był już wtriolem gryzącej satyry, był „Emigrant”, oparty na spostrzeżeniach Chaplina, dokonanych podczas podróży przez Ocean. Mówił on o biednych wychodźcach z Europy, stłoczonych jak bydło w dolnych pokładach

listów USA i dopiero w toku II wojny światowej Chaplin zdołał wykonać swój film.

Na szczytach genialnego artysty

Reakcyjne koła amerykańskie przedzieliły nawet wielu demokratycznych krytyków dostrzegających niebezpieczeństwo dla kapitalizmu ładunek społeczny filmów Chaplina. Wzmogły więc kampanię przeciwko artyście oskarżając go o „lekceważenie demokracji amerykańskiej”. Chaplin nie pozostał bierny, lecz zareagował nową przemianą.

Ostatecznie więc porzucił dawne akcesoria: melonik, łaskę, wykrzywione buty i ukazał się na ekranie jako „Pan Verdoux”, ubrany z mieszczańską elegancją. Rola była skopiowana, nien postaci głośnego w swoim czasie masowego mordercy matrymonialnego Landru, lecz Chaplin przepoił ją historyczną prawdą, iż warunki społeczne w kapitalizmie prowadzą do zbrodni. Przed sądem oświadczył „pan Verdoux”, że potajemnie i w małym zakresie czynił to samo, co jawnie czynią królowie pieniądza, którzy dla zysku wywołują mordercze wojny.

W USA zakazano wyświetlania filmu, gdyż: „Charlie Chaplin jest zdrajcą chrześcijańskiego, amerykańskiego sposobu życia”.

Wreszcie najwyższe stadium rozwoju swego talentu wykazał ponad 60-letni Chaplin ostatnim swym filmem „Limelight”. (W świetle kinkietów), okre-



Film „Emigrant” wywołał wielkie oburzenie amerykańskich bogaczy.

łym chłopcu dostrzegł przyszły talent. Zaangażował młodego Chaplina i zabrał go z sobą w roku 1911 na występy do USA. Powrócił tam Chaplin w r. 1913 i przyjęty został w poczet aktorów jednej z wytwórni w rozrastającym się Hollywood.

Przemiany

Charlie Chaplina

Złył wielki jednak był ładunek artysty w Chaplinie, by nie szukał on własnej osobowości, nie dostrzegając, że życie wygląda inaczej, niż je usiłują przedstawić potentaci filmowi. Wkrótce więc pozostała tylko charakterystyczna postać z jej komicznymi akcesoriami, zmieniła się natomiast jej cechy.

statku, o brutalności i pogardzie urzędników amerykańskich wobec „niższych ras”, szukających szczęścia w USA. A na wszystko to ślepym, zimnym wzrokiem patrzyła „Statua Wolności” u wejścia do Nowego Jorku...

Następny film „Charlie żołnierzem”, nagrany w czasie I wojny światowej, demaskował zbrodniczą bezmyślność masowego morderstwa w imię interesów garstki koronowanych i niekoronowanych władców świata. Wtedy to Chaplin po raz pierwszy stał się przedmiotem ataków prasy reakcyjnej. Film w całości nigdy nie poszedł na ekran!

Chaplin kontra Hitler

Pocieszny „człowiek w meloniku” siedzi jednak dalej raz obrana przez siebie drogą, zdobywając sobie coraz większą popularność wśród milionów ludzi po obydwu stronach Oceanu. Zdobył mu ją przede wszystkim film „Brzdąc”, oparty na wspomnieniach tragicznej młodości, lecz wzywający do nierezygnowania nigdy z prawa do osobistego szczęścia. — Już nie wielkość a genialność artysty potwierdzają dalsze filmy jak „Gorączka złota” (1925), „Cyrek” (1928), „Światła wielkiego miasta” (1931) oraz „Dzisiejsze czasy” (1936).

Szczególnie zaczęła walczyć rozpętała się wokół „Światła wielkiego miasta”. Bohaterem był bowiem bezrobotny — bezsilna ofiara straszliwego kryzysu, jaki wskutek postępującego rozkładu kapitalizmu od r. 1929 wstrząsał USA i całym światem kapitalistycznym. Truisty filmowe zbankotowały film — nim siłą genialnej kreacji swego twórcy utorował on sobie drogę do USA... z Europy. Po filmie „Dzisiejsze czasy” jedno z pism burżuazyjnych napisało: „Obecne tendencje polityczne Chaplina są zupełnie bliskie komunistom”.

Do walki przeciwko Chaplinowi włączył się wreszcie i faszyzm niemiecki, rasistowskim sloganami pokrywając swą walkę z wielkim humanistą filmowym. W Niemczech hitlerowskich zakazano wyświetlania filmów Chaplina. Paroksyzm wściekłości ogarnął brunatnych gauleiterów na wieść, że przystąpił on do nakręcania filmu „Dyktator”, w którym grał jednocześnie rolę dyktatora z wąsikami i jego sobowtóra-żda. Protest ambasady niemieckiej spotkał się z pełnym sympatią wyrozumieniem monopo-



Chaplin w swej ostatniej roli w filmie „Limelight”

lonym przez krytykę światową jako „dzieło geniusza filmu”. Zakończeniem filmu jest umiłowanie życia, „tego cudu jakim jest życie”, jak mówi Chaplin w jednej ze scen. Gra w nim rolę starego artysty, który umiera na scenie, gdy nowemu, młodemu życiu pomógł do rozkwitnięcia.

Jeszcze w okresie międzywojennym krytyka określiła Chaplina jako „Moliera filmu”. Po „Limelight” niezależna od USA krytyka nazwała artystę „Szekspirem srebrnego ekranu”. — W ciągu 40 lat swej kariery artystycznej przekształcił się bowiem Charlie Chaplin z pierwotnego „wesołka” w pełnego optymistycznej mądrości filozofa, umiającego odkrywać coraz to nowe realia życia.

„Jestem szerzycielem pokoju”

Tak sam o sobie napisał Chaplin do oślawionej „Komisji Badań Działalności Antyamerykańskiej”, kiedy został oskarżony o komunizm. Chaplin nie jest komunistą, lecz przez humanizm swych filmów i swe wystąpienia publiczne bliski jest komunistom i wszystkim ludziom, których jednoczy walka o pokój i szczęście ludzkości.

Do Kongresu Pokoju w Paryżu telegrafował Chaplin: „Jestem bardzo szczęśliwy, że przylączęm się do rzeszy ludzi, którzy pragną pokoju i sprawiedliwości społecznej w świecie”. — Ludzom tym pozostał wierny i wołał zamknąć przed sobą bramy swojej drugiej ojczyzny USA, gdzie przebywał 40 lat, niż zrezygnować ze służby sprawie, której poświęcił swój genialny talent.

FLORIAN MIEDZIŃSKI

Z otchłani nędzy

Charlie Spencer Chaplin, urodzony w kwietniu 1889 r., wyszedł na szczyty sławy z otchłani nędzy. Urodził się w jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu i od 7 roku życia — po śmierci ojca i zapadnięciu matki na nieuleczalną chorobę — niejednokrotnie wraz z bratem żył w tym, co nazywano wśród odpadków na targu.

Wacław Wilczyński

profesor WSE

O ekonomicznych źródłach obniżki cen

Od obywatela Z. K. (nazwisko w posiadaniu redakcji) z Gniezna otrzymaliśmy list. Pyta on redakcję: „Czym rząd się kierował, obniżając ceny niektórych towarów w takiej, a nie innej wysokości”. W związku z tym zwróciliśmy się do kierownika katedry ekonomii politycznej WSE w Poznaniu z prośbą o wyjaśnienie tego zagadnienia.

Uchwalona dnia 29 kwietnia br. przez KC PZPR oraz Radę Ministrów PRL nowa kolejna obniżka cen przynosi masom pracującym nasze go kraju 6 miliardów złotych oszczędności w skali rocznej.

Czy to dużo? czy to mało? czy można by bardziej jeszcze obniżyć ceny? — pytania takie nasuwają się niejednemu z nas przy czytaniu wykazu towarów i usług objętych obniżką cen. Odpowiedź jest prosta, dał ją jeszcze na IX Plenum KC PZPR w październiku ub. roku: pierwszy zastępca Prezesa Rady Ministrów — Hilary Minc, gdy mówił o podniesieniu w ciągu najbliższych dwóch lat płac realnych o ok. 15 proc.:

„Nie jest to dużo, ani mało, ale tyle na ile nas obecnie stać”

Zarówno ostatnia, kwietniowa, jak i poprzednia — listopadowa obniżka cen mają swoje źródło w rzeczywistych, realnych procesach ekonomicznych, zachodzących w naszej gospodarce. Tak więc tylko niektóre ceny towarów spożywczych, produkowanych przez rolnictwo, mogły zostać obniżone. Rolnictwo bowiem nie zwiększyło dostatecznie rozmiarów swej produkcji. Wytwarza jeszcze za mało. Obniżka cen dotyczy więc tylko tych towarów, które posiadamy w dostatecznej ilości, by zaspokoić zwiększone zapotrzebowanie, spowodowane obniżeniem ich cen. Tymczasem sukcesy przemysłu umożliwiły wydatniejszy wzrost masy towarowej, a więc i taką sytuację, że można było ceny wyrobów przemysłowych bardziej obniżyć.

Państwo ludowe nie może dowolnie kształtować cen, musi się liczyć z obiektywnymi, koniecznymi proporcjami, występującymi w gospodarce narodowej, z prawami

ekonomicznymi, które w niej działają.

Gdybyśmy np. działając obniżyli udział akumulacji (zdyktowanie środków na rozbudowę przemysłu i rolnictwa) w dochodzie narodowym z 25 proc., nie na 20 proc., lecz np. na 5 proc. i na tej podstawie ustalili również proporcje w produkcji przemysłowej z przewagą produkcji środków spożywczych, obniżając jeszcze bardziej ceny towarów — oznaczałoby to osłabienie tempa wzrostu naszej stopy życiowej na przyszłość. Nie mieliśmy bowiem wystarczających środków na rozbudowę naszej gospodarki, a w konsekwencji nie moglibyśmy w przyszłości zapewnić pokrycia dla rosnącego popytu na towary.

Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że obniżki cen opierają się bezpośrednio głównie na zmniejszeniu udziału akumulacji w dochodzie narodowym i odpowiednich zmianach proporcji w przemyśle, a nie jest to bynajmniej zasadnicze źródło wzrostu naszej stopy życiowej.

Istotne źródła wzrostu naszej stopy życiowej tkwią w aktywnej, wytrwałej, nieustępliwie walce każdego człowieka pracy o obniżkę kosztów własnych przedsiębiorstwa, w którym pracuje.

Na nie się zda najważniejsze ustalenie wytycznych rozwojowych, czy proporcji w podziale dochodu narodowego, czy środków pomocy dla rolnictwa. Jeśli u podstaw naszych zamierzeń nie leży pełne zrozumienie tej prostej prawdy, że jedyną drogą do dobrobytu własnego i społecznego jest wytwarzanie każdej jednostki towaru i świadczenie każdej usługi coraz mniejszymi nakładami pracy człowieka — żywej siły roboczej i materiału. Dotyczy to za-

równie przemysłu, jak i rolnictwa, które — zgodnie ze wskazówkami II Zjazdu PZPR — musi wydobyć wszystkie rezerwy, tkwiące jeszcze w naszej gospodarce, a więc produkować więcej i taniej.

Tylko wówczas, gdy każdy z nas zużywać będzie mniej swego czasu, mniej surowców, materiałów, maszyn i narzędzi dla wytworzenia i dostarczenia do miejsca spożycia każdej jednostki towaru (i to coraz lepszej jakości) — rosnąć będzie produkcja, a więc i spożycie przypadające na jednego mieszkańca, dobrobyt każdego z nas. Proces ten znajduje swoje pieniężne odzwierciedlenie w obniżaniu kosztu własnego jednostki towaru przy równoczesnym wzroście ilości towarów.

Obniżka kosztu własnego przy równoczesnym wzroście masy towarowej to źródło obniżenia ceny towaru, a więc i wzrostu realnej płacy każdego z nas.

Warunkiem wzrostu naszego dobrobytu będą więc osiągnięcia w obniżaniu kosztów własnych. JAKIE SĄ GŁÓWNE DROGI OBNIŻANIA KOSZTÓW WŁASNYCH? Po pierwsze: wzrost wydajności pracy, a więc oszczędność pracy żywej w toku samej produkcji i po drugie oszczędność w zużywaniu surowców, materiałów, maszyn i urządzeń, czyli oszczędność pracy uprzedmiotowej.

Wzrost wydajności pracy każdego obywatela leży więc w najlepiej rozumianym interesie własnym i całego społeczeństwa, podobnie jak i troska o wysoką jakość pracy, oszczędność każdej cegły, każdego kilograma metalu kółkowego, każdego metra przetrzennego drzewa, każdej tony węgla.

W tej walce nie możemy spocząć nawet na chwilę, nie osłabiając równocześnie tempa naszego rozwoju. „SZYBSZE PODNIESIENIE STOPY ŻYCIOWEJ TRZEBA WYWALCZYĆ I WYPRACOWAĆ” — powiedział Bolesław Bierut.



Jednym z najbardziej wstrząsających był film „Brzdąc”.



Andrzej Kurzawski „STRAJK KOLEJARZY” (olej)

w salonie CBWA — Wystawa Wiosenna pogład ten w pełni potwierdza. Ogólny jej poziom jest znacznie wyższy od poziomu wystaw poprzednich.

Uderza przede wszystkim bogata tematyka wystawy. Obok ulubionego u nas krajobrazu oglądamy dużo portretów, kilka ciekawych kompozycji, martwe natury i kwiaty. W większości, sumiennie na ogół wyselekcjonowanych prac znać wyraźnie dążenie do wyzwolenia się z więzów schematycznego ujmowania tematu; dostrzec w nich można nowe spojrzenie na świat, zainteresowanie się człowiekiem i jego problemami. Zwłaszcza graficy wykazują szczególną dążność do odtwarzania przemian, jakie dokonują się wokół nas i w nas samych. Ikon drzeworytu, tuszu, kredki czy akwaforty są już wiernym i ujętym w wyszukane formy artystyczne odbiciem współczesnego życia.

Z wystawionych prac malarzów wyróżnia się doskonały pod względem kolorystycznym olej Mariana Szymańskiego — „Po wojnie”. Bardzo prosta w koncepcji kompozycja przedstawia kobietę z dzieckiem na ręce na tle szkicowo zamalowanego pejzażu. Artysta odbił tu całkowicie od metody oddziaływania na widza poprzez realistyczny rysunek i konwencjonalne zestawienie barw. Nie ukazuje więc ruin i zgłiszcz, nie przeraża widokiem zniszczeń, lecz wywołuje ściśle określony nastrój wyrażający przez użycie środków malarzskich. Z postaci samotnej kobiety, do której tylko bezpański pies się przybliżał, bije rozpacz i jakiś głuchy żal. Szkoda tylko, że Szymański nie przywiązuje takiej samej troski do rysunku jak do koloru!

Interesującą pozycją jest olej Andrzeja Kurzawskiego — „Strajk kolejarzy”. Jest to już druga i znacznie ulepszona kompozycja na ten sam temat. Młody artysta włożył w nią wiele rzetelnego wysiłku, lecz ostatecznego celu nie osiągnął. Obraz jest wprawdzie poważnym osiągnięciem malarzkim, ale jego twórca nie uporał się jeszcze z trudnościami kompozycyjno-rysunkowymi. Przedstawionej grupie strajkujących kolejarzy brak jest życia i wyrazu.

Duży olej Alfredda Lenicy — „Róża na Rosenbergu” jest nowym dowodem wzrostu artysty. Obraz przedstawia wzruszający moment żegnania się Rosenberga z synami. Złwarta grupa, ukazana na tle wieżiennych krat, oddająca tragiczny los niewinnych ofiar amerykańskiego faszyzmu i technicznie snuta rezygnacja. Jedyne postać Juliana budzi zastrzeżenia za zbyt słabe podkreślenie uczuciowości, węgla z rodziną. Praca Lenicy wykazuje ponadto drobne usterki rysunkowe, a pod względem malarzkim cechuje ją plakatowa plaskość.

Z wystawionych portretów zasługują na słowa szczerzego uznania prace Zygmunta Gromadzińskiego, Józefa Fliegiera oraz Edmunda Lubowskiego.

Z kilku martwych natur wyróżniają się dwa oleje o tej samej tematyce — „Ryby” Edmunda Lubowskiego i Zygmunta

Na piątym piętrze pewnego gmachu

kazał się srowcem bardzo wytrzymałym — wyprodukowano koła zębate w zastępstwie stosowanych dotychczas — brązowych. Próby robiono w ZISPO: po 800 godzinach pracy zużycie części lignofolowych było minimalne, mniejsze od zużycia kół żeliwnych, a bieg maszyny cichy.

— To rewelacja! Gotowi jesteśmy przypuszczać, że niezadługo Instytut opracuje wiele drewnianych maszyn...

— Zdaje się mówić już, że ITD jest placówką naukowo-badawczą Ministerstwa Leśnictwa, że ma za zadanie badanie drewna i tworzy drewnianych oraz opracowuje problemy zgłaszane przez instytucje stosujące w produkcji drewno. Trzeba wspomnieć także o naszej współpracy z wyższymi uczelniami w całym kraju, a więc z SGGW, Politechniką Gdańską, Akademią Górniczą, naszą WSR i szeregiem specjalnych instytutów. A dlaczego siedziba ITD stał się Poznań? Miasto i bliskie okolice stanowią ośrodek przemysłu drzewnego, jest tu uczelnia z pokrewnymi nam pracownikami, łatwiej było przy organizowaniu (1952) o pracowników naukowych...

54 tematy

— Mamy tartaki doświadczalne w Winarach koło Gniezna i Antoninie, pow. ostrowski jak również na Opolszczyźnie, Mazurach i w Krakowskim. Właściwie się to z pewnymi pracami Instytutu. Np. niedawno opracowaliśmy przyrząd, który pozwala badać prawidłowość pracy traktora, a tym samym umożliwić lepsze wykorzystanie maszyny, zapewniając większą wydajność i wyższą jakość obróbki. Przypomnę także sprawę ustalenia właściwego roz-

warcia zębów pił przy przetwarzaniu drewna o różnej wilgotności. I to przyczyniło się do usprawnienia pracy naszych tartaków. Dużo by się jeszcze znalazło u nas problemów...

Prace nad standardowymi modelami skrzyń, opracowanie impregnatu zwalczającego zagrzybienie drewnianych elementów, opracowanie właściwszej metody suszenia materiałów tartych, metody konserwacji wilgotnej i mokrej surowca drzewnego, prace nad rozfrakcjonowaniem smoły, wykorzystaniem i przeobrażeniem odpadów leśnych i drzewnych, obniżka kosztów własnych w przemyśle leśnym i drzewnym, mechanizacja przemysłu leśnego, właściwym przebiegiem procesów technologicznych w zakładach przerobu drewna i wiele

innych. ITD opracowywał w ubiegłym roku 54 tematy prac naukowych, co przysparza w rezultacie gospodarce narodowej milionowych oszczędności. A warto tu podkreślić, że w przeważającej mierze pracownicy naukowcy naszego Instytutu to ludzie młodzi, którzy ukończyli studia na uczelniach Polski Ludowej.

Zstępuję wolno schodami pod silnym wrażeniem zakończonej przed chwilą rozmowy. W tym jasnym gmachu przy ulicy Ratajcza zeszło naukowców toruje drogę nowej technice. Tam, na piątym piętrze pracują ludzie, którym szczerze leży na sercu dobro człowieka i rozkwit ludowej Ojczyzny.

PIOTR ŻYCKI



To nie jest wcale skomplikowana maszyna. To po prostu bęben do badania wytrzymałości standardowych modeli skrzyń.

Dr Stanisław Prosiński, kierownik Zakładu Chemicznej Technologii Drewna ITD, profesor WSR w Poznaniu

Dziwili się ludzie z pobliskiej wsi, że nikt o wykopaniu pienków nie pomyśli. Maruje się karpina na wielkiej porębie... Nie wiedzieli, że przyjdą po nią drwale, ale — po kilku latach. Drewno ma część białą. W ziemi część białą gnije. I właśnie wtedy wzrasta w karpinie procentowa żywicy. A o to chodzi. Zakłady przerobu potrzebują takiego surowca. Czeka ją tam na karpinę rebarki. Wędrują potem karpinowe żrąbki do zbiorników umieszczonych nad ekstraktorami. Rozpoczyna swe działanie benzyna. Wreszcie w aparaturze gromadzą się produkty: kalafonia, terpentyna...

Kalafonia? Do pocierania smyczków. Tak. Lecz bardziej dla przemysłu papierniczego, do produkcji lakierów, mydła, do fabrykacji mas plastycznych. Coraz więcej potrzeba nam papieru. Więcej chcemy dobrego mydła. Kobiety marzą o modnych torebkach z plastiku. Na to potrzeba więcej karpiny. Czeka ją na nią ekstraktory. Prędzej, szybciej, więcej...

Poznań, Bydgoszcz, Warszawa

— Tak... dyrektor Kontek podjął swą myśl: — Fabryka stanęła przed koniecznością zwiększenia produkcji. Wtedy zdecydowano się zwrócić do Instytutu o pomoc. I zespół pracowników naukowych naszego Zakładu Chemicznej Technologii Drewna pod kierownictwem profesora Prosińskiego przyszedł przemysłowi z pomocą. W toku badań ustalono najlepsze wymiary żrąbków karpinowych — przez co dało się skrócić proces ekstrakcji o 30%. Równocześnie przez wskazanie fabryce jaka powinna być najwłaściwsza wilgotność surowca — udało się zwiększyć wydajność produktów ekstrakcji o 20%.

— To poważne osiągnięcie.

— Podobne problemy rozwiązywaaliśmy dla zakładów rozkładowej destylacji drewna produkujących kwas octowy, alkohol metylowy, smołę i węgiel drzewny potrzebny m. in. przemysłowi włókien sztucznych. Ale pytał pan o organizację naszego Instytutu Technologii Drewna. Mamy 9 zakładów: Chemicznej Technologii Drewna, Suszenia i Konserwacji Drewna, Dokumentacji Naukowej Drzewnictwa, Ekonomiki Drzewnictwa i Planowania Naukowego, (w Poznaniu) Badania Drewna i Wyróbów Drzewnych oraz Mechanicznej Technologii Drewna (Kraków), Badania Fizycznych i Mechanicznych Właściwości Drewna (Warszawa)... No i oczywiście działy: Fizykochemicznej Technologii Drewna w Bydgoszczy.

Drewniane maszyny

— Pod kierownictwem profesora Perkitnego, laureata nagrody państwowej? Pisał o osiągnięciach tego zespołu naukowców kilkakrotnie.

— Ale czytelnicy wasi nie znają najnowszych prac tego zakładu. Pracuje się tam nad klejeniem wielowymiarowych elementów drewnianych metodą Imperkol na potrzeby górnictwa, kolejnictwa i budownictwa morskiego. A o drewnianych częściach do maszyn wiecie? Z lignofolu (materiał otrzymywany ze sklejenia forniu specjalnym klejem), który o-

Od kilku lat gazety amerykańskie ogromnie wiele miejsca poświęcały sprawie „flying saucers”. Dopatrywano się w dziwnym zjawisku dostrzeganym gołym okiem inwazji „obcego mocarstwa” lub zgola istot rozumnych z innej planety. W artykule podajemy wyniki badań nad „latającymi talerzami” jakie przeprowadził jeden z fizyków zachodnich — prof. Benedicks. Jest to bardzo ciekawa hipoteza.

Rzecz działa się na lotnisku amerykańskim Godman Field dnia 7 stycznia 1948. Tuż przed godziną trzecią po południu pojawił się na niebie świetlny dysk, oglądany z pewnym strachem przez setki widzów. Dysk poruszał się w stronę lotniska, nad którym manewrowały trzy samoloty bojowe. Na wieży lotniska znajdował się właśnie komendant pułkownik Hix w otoczeniu kilku oficerów, gdy w przerwie między chmurami ukazał się błyszczący metaliczny dysk. Za pomocą przyrządów mierniczych ustalono jego wysokość nad poziomem lotniska na 3500 metrów, oraz obliczono średnicę świecącego obiektu na około 150 metrów.

Przez lornetki oficerowie mogli dostrzec czerwone plomienie ognia, strzelające z brzegu dysku. Kapitan Tomasz Mantell, dowódca manewrującej trójki maszyn otrzymał rozkaz podejścia bliżej do niezwykłego zjawiska. Za chwilę usłyszano jego słowa: „Przedmiot zaczyna się wznosić ku górze. Ma zaledwie połowę mej szybkości. Usiłuję podejść bliżej.”

Ostatnie słowa lotnika

Pięć minut później, tj. o godz. 15.08 Mantell znów prze-

LATAJĄCE TALERZE

mówił przez swe radio, donosząc, że „ścigany powiększył swą szybkość i uchodzi w górę z prędkością około 600 kilometrów na godzinę”. Za chwilę jedna z maszyn towarzyszących Mantellowi doniosła, że samolot dowódcy zniknął w chmurach, wznosząc się szybciej, niż jego towarzysze. O 15.15 usłyszano znów głos kapitana. „Jest ciągle nade mną i trzyma szybkość moją, a może nieco większą. Pójdę aż do 9000 metrów. Je żeli nie uda mi się zbliżyć, poniecham pościgu.”

Były to ostatnie słowa kapitana Mantella. Jeden z dwu pilotów towarzyszących dostał rozkaz wzniesić się na 12000 metrów. Jednakże nie zobaczył, ani „wielkiego statku raketowego czerwonych” lub „miedzyplanetarnego pojazdu Marsjan” — za jakiego uważano dysk, ani samolotu dowódcy. Dopiero później znaleziono rozrzucone na wielkiej przestrzeni poszczególne części samolotu. Można było stwierdzić tylko jedno: samolot eksplodował ze straszliwą siłą.

Fantastyczne majaczenia komisji

Prawdziwość tego zdarzenia nie podlegała wątpliwości. Podobne świecące tarcze lub kule ukazywały się również gdzieś indziej i były nawet fotografowane. Po tragicznym wypadku z Mantellem została utworzona specjalna komisja. Przewodniczył jej znany astronom amerykański, profesor Liddel.

Po zbadaniu setek świadectw i dokumentów komisja wydała orzeczenie, że świecące dyski są mechanizmami pochodzącymi spoza Ziemi (sic!).

Już od roku 1878 notowano ukazywanie się świecących tarcz na niebie i od tego czasu pochodzi nazwa „latających spódków” („flying saucers”), które u nas nazwano „latającymi talerzami”. W

związku z tym członkowie komisji wyrazili równocześnie sensacyjne przypuszczenie, że nasza Ziemia jest od 150 lat „pod obserwacją” rozumnych istot z jakiejś innej planety.

Rewelacje prof. Benedicksa

Oczywiście uczeni różnych krajów a zwłaszcza fizycy i astronomowie nie mogąc zadowolić się wspomnianym „orzeczeniem”, rozpoczęli badania i doświadczenia w sposób naukowy, bez fantazji... kosmicznych. W ostatnich dniach zostały ogłoszone wyniki uzyskane przez prof. Carla Benedicksa, b. prezydenta Akademii Nauk w Szwecji. Teoria Benedicksa rozwiązuje za jednym zamachem dwie zagadki: naukową, co do istoty kulistych piorunów i tajemnicę latających talerzy.

Na ogół wszyscy znamy zjawisko błyskawicy względnie piorunu. Gdy między dwoma chmurami, albo chmurą a Ziemią powstanie różnica potencjałów elektrycznych, wywołująca nieraz setki milionów woltów, może dojść do wyładowania w postaci odpowiednio długiej i grubej iskry. Wyładowania między chmurami nazywa się potocznie „błyskawicami”, między chmurą a Ziemią — „piorunami”. Długość błyskawicy wynosi nieraz 20 do 50 kilometrów, a natężenie prądu, czyli ilość elektryczności przepływającej przez sekundę 20 do 100 tysięcy amperów. Gdy nawet wyładowanie trwa ułamek sekundy, to ilość energii zawartej w iskrze sięga milionów kilowatogodzin.

Substancja wybuchowa: „tlenowódór”

Silne wyładowanie elektryczne musi wywołać temperaturę rzędu co najmniej około 5000 stopni, skutkiem czego woda zawarta w powietrzu (błyskawice i pioruny biją zazwyczaj podczas burzy i ulew) zostaje zdysocjowana na tlen i wodór. Po przejściu iskry, można sobie przedstawić jej drogę jako mniej lub więcej grubego cylindra utworzonego z mieszaniny wymienionych gazów. Taka mieszanina zwana „tlenowódorem” jest w niższych temperaturach niebezpieczną substancją wybuchową. Powyżej jednak temperatury dysocjacji (około 3500 stopni) oba gazy mogą istnieć obok siebie bez możliwości powstania eksplozji.

Każdy płyn (a więc ciecz lub gaz) nie zawarty w sztywnym naczyniu ma tendencję do tworzenia na swej granicy oddzielającej go od ośrodka jakby „naskórka” czyli zagęszczonej warstewki. Jak wiadomo, na powierzchnię swobodną wody można położyć igłę stalową, która nie utonie, gdy zabieg wykonamy delikatnie, lecz utrzyma się właśnie na owym „naskórku”. Jest on wynikiem działania pewnych sił ściągających, skutkiem czego płyn uśmiera o ile możliwości skupić się w kształt kulisty, mający najmniejszą powierzchnię przy danej objętości płynu.

Toteż ów piorunowy cylinder gorącego tlenowódoru zamienia się naprzód w postać „unduloidu” (kolejne zgrubienia i ścięczenia profilu) a następnie w szereg kulek. Tego rodzaju błyskawice, mające postać sznura pereł, fotografował A. Riggenbach.

Teoria

„piorunowej kuli”

W pewnych okolicznościach z owych pereł tworzą się kule o średnicach od kilkunastu centymetrów do kilkuset metrów. Oto — wedle Benedicksa — bardzo wiarygodna geneza pioruna kulistego.

Właściwa nazwa tego zjawiska powinna brzmieć „piorunowa kula”. Albowiem kula taka jest wprawdzie następującym błyskawicy, czyli zjawiska elektrycznego, jednakże ma ona już tylko charakter czysto materialny: kula utworzona z tlenowódoru o temperaturze około 5000 stopni.

Zarówno literatura fachowa jak i beletrystyka oraz żyjące osoby mówią o zjawisku pioruna kulistego. Zachodzi ono bez porównania rzadziej, niż uderzenie zwykłego pioruna „liniowego”. Niemniej są znane wypadki, gdzie piorun kulisty a raczej nasza piorunowa kula wpadała do izby, i z powrotem ulatywała. Zwykle po opuszczeniu domostwa następowała silna eksplozja. Znaczący to, że z upływem czasu i przez stykanie się z chłodnymi przedmiotami, tlenowódór ochłodził się poniżej temperatury dysocjacji, skutkiem czego powstać musiało gwałtowne połączenie się wodoru z tlenem (gaz piorunujący!) z wywołaniem wielkiej ilości ciepła, podmuchu i huku.

Dlaczego kula uciekała?

Otóż Benedicks twierdzi, że kapitan Mantell ścigał nie innego, jak tylko wielką kulę piorunową, która przed nim uciekała, ile mogła. Dlaczego uciekała, zapytacie. Otóż pędzący naprzód samolot swym smigłem „ssie” powietrze, czyli wytwarza rozrzedzenie a tym samym znaczne ochłodzenie powietrza. Kula piorunowa z tej strony ochładza się i część jej zawartości gwałtownie się spala (ogniste języki ognia!), dając odrzut w przeciwnym kierunku. Gdy więc samolot zbliża się do kuli, powstaje zjawisko jakby „sterowanej” przez mądrą istotę ucieczki. Dzięki temu udało się mniemać, iż kula piorunowa wielkich rozmiarów, widziana na niebie i wyrzucająca z siebie plomienie ognia, to pojazd raketowy — „z innej planety” (lub innej części świata).

Można przypuszczać, że zarówno kula piorunowa, jak i Mantell, zapędzili się gdzieś w zakątek między chmurami deszczowymi. Samolot podszedł do kuli w bezpośrednim sąsiedztwie, a kula tymczasem tak się ochłodziła, iż nastąpiła tragiczna w skutkach eksplozja, o niezwykłej sile.

EUSTACHY BIALOBORSKI

Dlaczego USA nie chcą pokoju w Indochinach?

Na to pytanie najlepiej może odpowiedzieć zamieszczona obok mapka. Przedrukujemy ją wraz z zaznaczonymi cennymi bazami surowcowymi ze sztokholmskiego dziennika „Morgen Tidningen”.

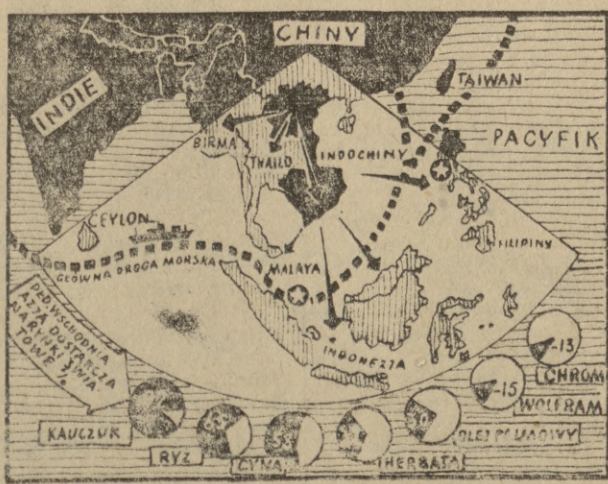
W związku z odbywającą się obecnie konferencją w Genewie oraz aktualną sytuacją w Wietnamie, komentator „Morgen Tidningen” zwraca uwagę na fakt, iż 92 proc. światowej produkcji kauczuku, 65 proc. światowej

produkcji ryżu, 58 proc. — cyny, 31 proc. — herbaty, 30 proc. — oleju palmowego, 15 proc. — wólframu, 13 proc. — chromu itd. przypada na kraje południowowschodniej Azji.

Jest rzeczą oczywistą, że Amerykanie, „a ściślej mówiąc — wielkie monopole nowojorskie”, chcą sobie przywłaszczyć te niezmiernie bogactwa.

„Z tych to względów — kończy komentator — łatwo zrozumieć, dlaczego Waszyngton tak gwałtownie występuje „w obronie” Indochin, nie zastanawiając się zbyt nad doborem środków, prowadzących do tego celu”.

Na cóż, apetyty mają niezgorsze. Zapominają tylko o jednym, że narody Azji już coraz skuteczniej potrafią hamować zapędy panów z Wall Street. Dien Bien-fu ma i w tym wypadku swą głęboką wymowę...





Adenauer: Prosimy do stołu, kochany sąsiadzie.

Regards

Celny oreż

Zegar wskazywał właśnie wpół do dziewiątej, gdy drzwi do sekretariatu otworzyły się nagle i wszedł dyrektor Kowalski. Twarz miał czerwona z oburzenia.

— Czytała pani? — zapytał sekretarkę.

— Co?
— Dzisiejszą notatkę w prasie o naszej instytucji? Krytykują zły styl pracy, kumoterstwo i nieuprzejmość jakiegoś Kowalskiego. I w dodatku nie podali nawet imienia! Teraz nie wiadomo o ko-

B. Paluszkiewicz

go chodzi. Przecież u nas pracuje czterech Kowalskich, nie licząc oczywiście mnie. — To mówiąc dyrektor wszedł do swego gabinetu, zamykając za sobą starannie drzwi. Już za chwilę jednak zadzwonił w sekretariacie telefon.

— Panno Ireno! — mówił dyrektor. — Od jutra przychodzę na wszelki wypadek do biura na ósmą, klientom proszę nie utrudniać dostępu do mnie, a szoferowi niech pani powie, że do Konina w tym tygodniu nie pojedzie. Ciotka się wprawdzie zmartwi, że mnie nie zobaczy, ale trudno — taka sytuacja.

— A więc wszystko na odwrót, panie dyrektorze? — upewniała się sekretarka.

— Przejściowo! Przejściowo! Zanim się sytuacja nie wyjaśni! Chociaż wątpię, aby ta notatka miała dotyczyć mnie. Przecież mój styl pracy jest chyba bez zarzutu! A teraz niech pani prosi dać te notatki do przeczytania wszystkim Kowalskim zatrudnionym w naszej instytucji i poprosi ich na dwunastą do mnie na konferencję w tej sprawie.

Pozostali Kowalscy byli oburzeni artykułem i zaklinali się, że nie chodzi o nich. Oburzywszy się jednak przeźornie na niestuszną krytykę, która „czepia się” bezpodstawnie poszczególnych pracowników, każdy z nich rozpoczął badać dokładnie swój styl pracy.

Stanisław Kowalski, szef biura kadr, odrzucił z miejsca wniosek o posadę dla osoby, którą polecił przysłać swojej teściowej.

Jan Kowalski, referent, zmusił swoją twarz do uprzejmego uśmiechu i pełen wewnętrznej, dobrze ukrytej gorczy żałował swoich petenów jak gdyby w burze ogłoszono konkurs uprzejmości.

Teodor Kowalski, urzędnik z działu planowania, czym prędzej podyktował telefonicznie ministerstwu cyfry zaległego sprawozdania.

Walenty Kowalski, woźny, posuwał swą nieodzowną uprzejmość aż tak daleko, że wskazywał klientom nie tylko numer pokoju, w którym mają załatwiać, ale również i piętro, na którym pokój się znajduje. Mało tego: pożyczł nawet pióro potrzebne do napisania spieszego wniosku.

Punktualnie o godzinie dwunastej wszyscy Kowalscy zebraли się w gabinecie dyrektora. Dyrektor zagał konferencję tymi słowami:

— Proszę kolegów! Nie potrzebuję chyba kolegów przy pominięciu, że krytyka prasowa, to celny oreż w walce ze szkodnictwem. Koledzy rozu- miewają to chyba doskonale i nie będą się dziwić, jeżeli winnego surowo ukarzę. Proszę teraz kolegów, ażeby każdy po kolei zreferował mi swój styl pracy i stan prac w poszczególnych działach.

Każdy z kolegów referował kolejno, starając się przedstawić swój dział w jak najbardziej optymistyczny sposób. Winnego nie było — według zdania zainteresowanych — w najzupełniejszym porządku.

— Wobec tego — powiedział dyrektor — zatelefonuję do redakcji i poproszę, aby nam podali imię owego Kowalskiego.

Cztery pary oczu wpatrywały się z napięciem w rękę dyrektora wykręcającą na tarczy telefonu numer redakcji. Cztery głowy skłoniły się w stronę dyrektora, starając się z urywków rozmowy do-

myśleć jej treści. Wreszcie dyrektor odłożył słuchawkę.

— Panowie! — oznajmił uraczyscie. — Okazało się, że to pomyłka. Nie chodziło wcale o naszą instytucję. Wobec tego jesteśmy bez zarzutu.

Z westchnieniem ulgi opuścili uczestnicy konferencji gabinet dyrektora. Nie wytrzymał tylko dyrektor, który zaklął i powiedział:

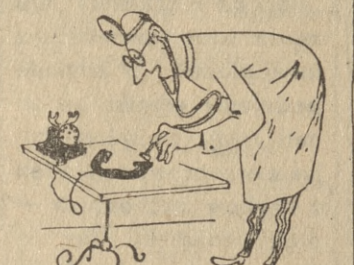
— I pomyśleć, że przez omyłkę musieliśmy przewracać całe biuro do góry nogami!

Odpowie dział kadr

ANATOLD trzymał w ręku kopertę, zastanawiając się co też pismo może zawierać. Zaadresowane było ponad wszelką wątpliwość do niego, Anatolda. Jako nadawca figurował Dział Kadr ZNTK.

Anatold otworzył kopertę, wyłuskał z wnętrza białą kartkę niewielkich rozmiarów i przeczytał:

Czytelnicy skarżą się, że niektórzy lekarze zamiast przybyć do chorego chcą udzielać porad telefonicznie.

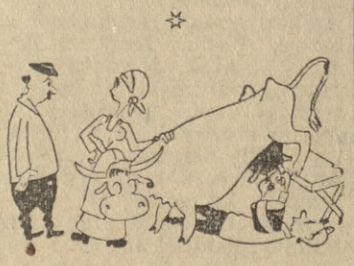


Metoda tele-osłuchowa

Wielu pracowników przydzielił rad narodowych zamiast osobistej inspekcji opracowuje sprawozdania telefonicznie.



Halo! Co? Aha! Mam sprawę! Pracę POM-ów... Natychmiast ruszam w drogę... Wokół telefonu.



— Nie dziwcie się. On był przedtem szoferem.

Awangarda, Rzym.

ANEGDOTA

Car Dymitr rozkazał ogłosić w całym kraju, że człowiek, który okłamie go w najzwyklejszy sposób, obdarzy grubym łańcuchem ze złota. Ze wszystkich gubernii napłynęli kłamcy i kłamałi, kłamałi. Ale car nie był zadowolony i mówił każdemu z nich: „To przecież zwykłe kłamstwo!”

Pewnego jednak dnia przybył na dwór cara prosty chłop, Iwan Iwanowicz, tocząc przed sobą ogromną beczkę.

— Co to ma znaczyć? — zapytał zdumiony car.

— Panie! — odpowiedział Iwan Iwanowicz — udając zakłopotanego. — Twój dziadek, znalazłszy się w kłopotach pieniężnych, pożyczył od mego dziada tę oto beczkę pełną rubli. Oddaj mi teraz dług!

— To kłamstwo! — wykrzyknął oburzony car.

— Masz słusznosc! — roześmiał się Iwan Iwanowicz. — Dawaj złoty łańcuch!

— A jeżeli to nie jest kłamstwo? — zapytał car chytrego chłopca.

— To oddaj dług!

Iwan Iwanowicz powrócił do swojej uści ze złotym łańcuchem.



Rys. E. Szewcowa

Uzupełniający punkt bońskie konstytucji

Krótką historyjką która nie mogłaby się zdarzyć naszym ojcom

Marian Orłowski

Zaczynało się wszystko zwykle wieczorem: na niebie drżały jak galaretki gwiazdy, uśmiechał się głu-pawo księżyc, a ja osiodłany przez tęsknotę myślałem o niej. Pozornie byłem przekonany, że mnie kocha, ale w takie wieczory nie mogłem odpędzić dreczących wątpliwości, że jednak może być inaczej. Myśl, że Zosia mogła w ciągu trzech miesięcy roz-łazić pokochać innego, bła-kała się jak urojona mucha. Niebezpieczeństwo było tym prawdopodobniejsze, że Zosia miała bardzo miły uśmiešek i... energię, ho! ho!

Moje usiłowania, żeby wy-rwać się na kilka dni z kursu i rozpedzić na miejscu wątpliwości, spotkały się z taką odpowiedzią kierownika: — Wykluczone. Tu nie biuro matrymonialne, ale kurs zawodowy.

A Zosia już trzy tygodnie milczała.

Pewnego wieczoru, gdy fa-chowe wiadomości popłatały się w zagadkowy sposób ze sprawami serca — wpadłem



Wiedząc, że naprawdę idziecie na bal kostiumowy? Bogu dzięki! Ja myślałem, że wybieracie się do armii europejskiej.

Regards

Ofiary... denacyfikacji

Czy słyszeliście kiedy, żeby uczestnik zbrodni domagał się takiego samego współczucia, jakiego zaznał jego ofiara?

Na taki właśnie pomysł wpadł b. funkcjonariusze partii hitlerowskiej z „bawarskiego zrzeszenia poszkodowanych przez denacyfikację”, którzy na zjeździe w Monachium domagali się „odszkodowania moralnego, prawnego i materialnego” oraz rycze-li, że „poszkodowani przez denacyfikację mają prawo domagać się, aby traktowani ich tak samo, jak np. b. więźniów obozów koncentracyjnych, poszkodowanych przez działania wojenne itp.”. A przez zrzeszenia biednych bawarskich hitlerowców pochwalili się, że w urzędzie kancelarskim Adenauera te pre-tenzje potraktowane zostały z „dużym zrozumieniem”.

W tym nie ma oczywiście nic dziwnego. Adenauer np. przed mowami do specjalnego, poświę-onego Trizonii bońskiej, nume-ru amerykańskiego tygodnika „Life”, przebakuje, że nasze Zie-mie Zachodnie chciały „od nowa załudnić”, gdyby spełniły się jego marzenia. Do realizacji tych neo-hitlerowskich celów naj-lepiej oczywiście nadają się starzy hitlerowcy, czyli — biedne, że-brzące o współczucie „ofiary de-nacyfikacji”.

Tak oto sobie marzą — „Life”, Adenauer, „poszkodowani” ba-warscy hitlerowcy...

Arabowie mówią: psy szcze-kają, karawana idzie dalej...

Wies

na odkrywczą myśl: Przecież mogę przeprowadzić niewinny wywiad w fabryce i do-wiedzieć się, co z Zosią!

Napisać! Ale do kogo? Przecież pracowałem w fa-bryce tylko rok i właściwie niewiele ludzi znam. A może by tak do dyrektora? Hm... sprawa niekoniecznie produkcyjna. Nie wypada. Ale prze-cież dyrektor jest człowiekiem, więc powinien rzecz zrozumieć. Napisałem po prostu:

„Panie Dyrektorze.

Chciałem donieść, że już wkrótce wrócę do fabryki. Czas pędzi bardzo szybko, bo nauki i zajęć praktycznych mamy niemało. Jak tam koledzy, koleżanki? Pan Dyrektor pamięta, że chodziłem z Zofią Staniecką... taka blondyneczka, ma niebieskie oczy. Proszę wyba-czyć, że trudzę go sprawami osobistymi, ale ona milczy od dłuższego czasu, więc chciałem się dowiedzieć. Pan Dyrektor rozumie? Bardzo będę wdzięczny za krótki list.”

List poszedł. Ona milczała dalej.

Wreszcie...

Gdy rozrywałem kopertę z pieczęcią, opiewającą, że list przychodzi z fabryki Narzędzi Chirurgicznych „Skalpel” — serce waliło mi, jak młot pa-rowy.

Drżąc z podniecenia, prze-czytałem co następuje:

„Drogi Kolego.

Cieszę się bardzo Wasze przywiązanie do fabryki i wzrusza mnie Wasza miłość do Zosi Stanieckiej. Spełniłam Waszą prośbę, ale niestety...

18. 4. Staniecka wyszła z fa-bryki w towarzystwie pracow-nika dyrektora i udała się z nim do kina.

20. 4. Zosia zwierzyła się ko-leżance, że „on ma bardzo miłe usposobienie i że go bardzo kocha”.

1. 5. Wasza narzeczona bra-ła udział w pierwszomajowej zabawie, tańczyła z wszystkimi pracownikami fabryki, jest we-sola i — jak się wydaje — zadowolona.

Nic poza tym nie udało nam się stwierdzić.

Dodatek nieurzędowy: Osle egipski, czerepie pełnionej trocinami, Tomaszu niewierny, kochany głupek — kocham Cię, jak dawniej

teściuś z Tobą

Dyrektor Fabryki Narzędzi Chirurgicznych

(—) Zofia Staniecka.



J. Mikołajczak

Opinia

Chwalił stołówkę, stawiał za wzór ją. (Nie podobala się w biurze nikomu). — A mnie obiadu jednak smakują... Stwierdził z uznaniem. A jadał w domu.

Przysłowie

Już coraz mniej dziś wśród dyrektorów Pyszałków, „władców” i dyktatorów. Nowe przysłowie życie nam rodzi: „Często szef bez buty chodzi”.